# TYGODNIK
# DLA DZIECI.

## №er 17.

W SOBOTĘ DNIA 2 MAJA 1829 ROKU.

### TASSO POETA WŁOSKI.

Tasso był jednym z najsławniejszych poetów, i najnieszczęśliwszych ludzi. Jego jeniusz objawił się prawie w pierwszym roku życia; jego nieszczęścia zaczęły się w najpierwszych latach młodości. Gdy miał lat dziesięć napisał już wiele dobrych wierszy, w trzynastym roku uważano go we Włoszech jako dobrego poetę, a w trzydziestym był liczony bezpośrednio po Homerze

i Wirgiljuszu. Od tej epoki wszystko się dla niego skończyło, reszta dni była tylko pasmem nieszczęścia i cierpień.

Torkwat Tasso urodził się w Sorrento w królestwie Neapolitańskiem roku 1534. Jego ojciec Bernard Tasso był także w rzędzie dobrych pisarzów i poetów owego wieku. Syn więc jego od kolebki miał sposobność do oswojenia ucha z harmonją wiersza. Pierwsze objawienia się jego zdolności były nadzwyczajne. Historycy jego życia mówią o nim cuda. Powiadają iż niemiał jeszcze roku, kiedy już nietylko dokładnie mówił swoim językiem, lecz nadto rozumował i najrostropniej odpowiadał na wszystkie czynione mu zapytania; że oprócz głosu nic w nim

dziecinnego niebyło; że go rzadko smiejącego się lub płaczącego widziano, i choć miał do tego powody okazywał zawsze jednaką moc charakteru i duszy.

Oddany do Jezuitów zadziwiał swoich nauczycieli przez nadzwyczajne zdolności, i postęp w naukach. W dwunastym roku umiał już po łacinie i po grecku, pisał wierszem i prozą, i znał wszystkich starożytnych filozofów i poetów.

Przez nieszczęśliwe okoliczności polityczne ojciec jego został ogołocony z majątku, i był wraz z synem wywiewieziony z Neapolu. Następnie więc młody Tasso oddany do Rzymu uczynił nowe olbrzymie w różnych naukach postępy, i stał się wszystkich podziwieniem. Zawsze jednak wśród poważnych

nauk najwięcéj dla niego wdzięku miała poezja, do niéj czuł najwyższe natchnienie, jéj z największem poświęcał się upodobaniem.

Jego nieśmiertelne dzieło: *Jerozolima wyzwolona*, przez naszego Piotra Kochanowskiego na język polski przełożone, może bydź uważane za pierwsze po Iljadzie Homera. Miano go uwieńczyć w Rzymie jako pierwszego Włoskiego poetę, lecz nieszczęsna jego choroba w któréj całe szczęście i rozum utracił, wydarła go światu w 51 roku życia jego.



# HISTORJA NATURALNA.

## NAUKA TRZECIA.

### *Człowiek zdziczały.*

---

Bóg obdarzył człowieka rozumem; przez ten dar wywyższeni jesteśmy nad wszystkie jestestwa ziemskie; zastanawiamy się, i wnioskujemy o rzeczach. Nasza uwaga, pojęcie, pamięć, wyobraźnia i przemysł, są przymiotami wynikającemi z rozumu; przeto u zwierząt słabe tylko ślady tych przymiotów widzimy! — W wieku niemowlęcym są w nas te przymioty uśpione; następnie, przez doświadczenie i naukę coraz bardziej rozwijają się i doskonalą. Lecz w takim stanie uśpienia pozostałby nasz rozum na zawsze, gdyby czło-

wiek od niemowlęctwa nieznał innych ludzi, gdyby usunięty był od towarzystwa, i przez wychowanie nie przytłumił w sobie tego co jest zwierzęcem, a nierozwinął tego, co godność człowieka stanowi.

Dla tego w żadnym kraju niema ludzi zupełnie dzikich, a lubo tak zowiemy mieszkańców odległych od nas krajów i wysp nowo odkrywanych, żyją oni jednak w towarzystwie, a zatém mają i przemysł, lubo nie w takim jak my stopniu. Lecz do jakiego poniżenia godności swoiéj, doszedłby człowiek, gdyby wychowaniem jego niezajmowali się inni dojrzali ludzie, przekonać się możemy z człowieka zdziczałego który niemowlęciem porzucony w lesie, sciągnął na siebie tyle litości

zwierzęcia, że go wykarmiło w oddaleniu od ludzi. Historja wspomina kilka wypadków dowodzących: że człowiek może się wychować bez starania innych ludzi, lecz zdziczały wśród puszczy, jak daleko różniłby się od oświeconego człowieka, z następującego opisu poznamy.

We Francji w miesiącu Wrześniu 1731 roku, służący zamku Sogny o cztery i pół mili od miasta Chalons odległego, jednéj nocy spostrzegłszy w ogrodzie na jabłoni jakieś nadzwyczajne zwierzę owoc jedzące, zbiegli się z hałasem i chcieli otoczyć drzewo. Ale zwierzę, krzykiem przestraszone, w mgnieniu oka skoczyło po nad ich głowami, potem wdarło się lekko na mury ogrodu,

naostatek uciekło do sąsiedzkiego lasu i z łatwością na bardzo wysokie drzewo wylazło.

Służący pobiegli za niem i otoczyli drzewo a z nimi połączyli się i włościanie ich krzykiem zwabieni; ale zwierzę nieschodziło na dół, przeskakując tylko z drzewa na drzewo. Postrzeżono iż miało postać ludzką i dla tego chciano je żywcem ująć, lecz potrzeba było ażeby dobrowolnie zeszło. Pani zamku wnosząc że głód i pragnienie skłonić je do tego zdoła, kazała przynieść wiadro wody i pokazywać mu z daleka żywego węgorza, który w téj chwili znajdował się w domu. Zdziczała dziewczyna (nią bowiem było to zjawisko), uczuła w sobie wielki popęd ku okazywanym przedmiotom. Już

zstępowała do połowy drzewa, znów wruciła się ku wierzchołkom jego; nakoniec bądź że postrzegała uspokojenie w otaczającéj ją gromadzie ludzi, i mniéj natarczywości w jéj chwytaniu, bądź że ją uciskał głód i pragnienie, ośmieliła się zejść aż na ziemię, napiła się wody i zjadła węgorza. Uważano, że piła zanurzając w wodę podbrodek aż do ust i cedząc wodę nakształt konia. Wtedy ją schwytano i postrzeżono że tę łatwość do wdzierania się na drzewa nadawały jéj nadzwyczajnie długie i twarde u rąk i nóg paznokcie. Wydawała się być czarną, lecz zmiana pomieszkania nadała jéj w krótce naszą białość. Zaprowadzono ją do zamku, gdzie najprzód rzuciła się na surowy drób, który kucharz przygotowy-

wał. Nieznając żadnego języka, nieartykułowała głosu; wydawała tylko przez gardło przerażające krzyki.

Łatwo domyśleć się, że właściciel zamku niemógł upilnować tego więźnia, który nieustannie szukał sposobności wysunienia się do lasów lub skoczenia w rzekę. Kazano ją przeprowadzić do klasztoru w Chalons, wystawiwszy jéj łatwość pojmowania i pamiętania, nauczono ją cokolwiek; i dosyć łatwo pojęła mowę. Wtedy czyniono jéj różne pytania w przedmiocie pierwotnego stanu, niebyła jednak zdolną nic na to odpowiedzieć, bo prawie wszystkiego zapomniała. Niemożna było dowiedzieć się o jéj wieku; w metryce jéj chrztu naznaczono lat 11, biegała jednak w w ówczas pogłoska w Paryżu że mia-

ła 14 lub 15, a tym którzy ją widzieli zdawało się, że miała 17 do 18. Jéj chrzesnym ojcem był administrator zgromadzenia, a chrzesną matką przełożona klasztoru.

Przyzwyczajona do życia wpośród lasów, do owoców, surowego mięsa i krwi, a potém zamknięta w izbie, przymuszona do spania w łóżku, i do takich potraw iakich my używamy, wpadła w chorobę tak gwałtowną, iż musiano obrządek jéj chrztu przyśpieszyć, chociaż wypadało odłożyć go aż do czasu w którym stałaby się zdolną cel takowego obrządku pojąć. Gdy już przyszła do siebie, niemogła nawet przypomnieć sobie że była ochrzczoną; częste upuszczania krwi które uznano za potrzebne do złagodzenia tak dzikie-

go jéj charakteru, osłabiły jéj zdrowie, odjęły czerstwość i siłę tak wielką przedtem, że powaliła drzwiami na ziemię sześciu ludzi chcących ją do izby wprowadzić. Nigdy niemogła przypomnieć sobie skąd przybyła: pokazywano jéj rozmaite zagraniczne rośliny, ale żadnéj z nich nierozpoznała; dowiedziano się tylko od niéj że przebyła mnóstwo wód i lasów, z czego się domyślano że przybyła z Ameryki. Może być że jaka kobieta z dalekich stron okrętem płynąca, po rozbiciu się, z niemowlęciem na ląd wyrzucona, zostawiła je w lesie, gdzie je wykarmiło zwierzę aż do pory w któréj same sobie pożywienia szukać mogło.

Godne wiary osoby, to tylko wywiedzieć się od niéj mogły, od cza-

su w którym mówić umiała: że lasy były najdawniejszym jéj siedliskiem, że żyła tam ze swoją towarzyszką prawie równą jéj wiekiem, że w zimie okrywała się skórami zwierząt, a w lecie przepasana tylko skórą nosiła uwiązaną do niéj krótką drewnianą pałkę: nią jedynie broniła się przed napaścią dzikich zwierząt lub zabijała te których mięso na pokarm jéj służyło. Ilekroć tym orężem zabiła zająca, odarłszy go ze skóry pożerała, ilekroć zaś dopędziła go w biegu, przecinała mu paznokciem żyłę i krew wyssawszy resztę porzucała. Ten to zapewne pokarm nadał jéj siłę i tę zręczność, którą nasz sposób życia całkowicie odejmuje. Szybkość z jaką się upędzała za zającami była zadziwiająca.

Ilekroć okazywała jéj dowody, zdawało się że w jéj nogach i w jéj ciele żadnego ruchu niema; byłoto raczéj ślizganie się, nie zaś zwyczajne bieganie. Tyleż posiadała zręczności i w pływaniu. Szukała w wodzie ryb, które były dla niéj nader smaczną potrawą. Nurzała się tak długo, iż się zdawało że woda równie jest dla niéj iak i popowietrze, żywiołem.

Miała ona jeszcze swoję towarzyszkę, i właśnie trzeciego dnia po jéj utracie schwytaną została. Oto opowiedziany przez nią samą sposób, w jaki się rozłączyły ze sobą. Obiedwie pływały w jednéj rzece, domyślano się że to była Marna; wtém usłyszały szelest, co ich skłoniło do zanurzenia się w wodę: myśliwy biorąc je z daleka

za dwie kurki wodne, wystrzelił do nich. Przerażone, posunęły się bardzo daleko pod wodą a postrzegłszy las, wyszły z rzeki i zapuściły się w gęstwinę. Idąc, znalazły korale nawleczone na nitkę, obiedwie chciały je posiadać i włożyć je sobie na szyję. — Wszczęła się o to kłótnia; ona otrzymawszy uderzenie w ramie, nawzajem uderzyła swoję towarzyszkę w głowę. Nieszczęściem cios był tak gwałtowny, że podług jéj wyrażenia *uczyniła ją czerwoną*, co oznacza że ją skrwawiła. Natychmiast przejęta tem natury wzruszeniem, które nas do ratowania bliźnich zniewala, wdarła się na wierzchołek dębu, spodziewając się, jak mówiła, znaleść na nim gummę zdatną do uleczenia rany. Zna-

lazłszy ją, wraca na miejsce w którém zostawiła swoję towarzyszkę, ale już jéj tam nie zastała, i nigdy jéj potem niewidziała. Niema wątpliwości że to rozłączenie mocno uczuła.

Z klasztoru w Chalons przeniesiono ją do klasztoru nowych katolików, na ulicę St. Anny w Paryżu. Tu oglądały ją rózne znakomite osoby, a między innemi Książe Orłeanu, który jéj wiele zapytań czynił. Oświadczyła przed nim życzenie wejścia w śluby zakonne, czego jednak słabość zdrowia niedozwoliła jéj uskutecznić. Od chwili, w któréj chrzest przyjęła, nazywano ją *Panną Leblanc*. We wszystkich domach, w których była, oddawano pochwałę jéj sprawowaniu się; użalano się tylko na pewien rodzaj melancholji, dla któréj życzyła sobie często w samotności zostawać.

## MAŁY WŁOCH.

*(Ciąg dalszy)*

—O mój Boże! rzekła przelękniona gospodyni, to bez wątpienia jakiś oszust ukradł ci pieniądze.

—Jakto, ukradł jego pieniądze? rzekł gospodarz, usłyszawszy te ostanie wyrazy. Co to? jak się to stało?

Klaudjusz chciał usunąć te podejrzenia; jednakże oni niemniéj byli przekonani, że go oszukano. Wieczór nadszedł a pieniędzy niewidać. Klaudjusz ustawicznie za drzwi wychodził; zaczął się nieco frasować; gospodarz przysięgał mu iż zatrzyma jego lirkę za należytość swoję; ta pogróżka rozdzierała serce młodego Włocha. Ta lira już od dawnego czasu należała do jego ro-

dziny; należała do jego dziadka, a potém do Jana Klostela; cóż oni na to powiedzą, jak z nią niepowróci do domu? Ponieważ zaś dopiero nazajutrz rano miał odchodzić, jeszcze zupełnie niestracił nadziei; trudno mu jednak było zasnąć, i dopóty nieusnął póki niewymyślił pewnego układu któryby z gospodarzem mógł zawrzeć.

Nazajutrz nikt nieprzychodzi. Klaudjusz miał w swoim małym skórzanym woreczku kilkadziesiąt groszy, które oddawszy gospodarzowi, oświadczył, iż niewyjedzie dotąd z Lyonu dopóki nieuiści się z téj należytości.

—To bydź niemoże, odpowiedział gospodarz; zamiast zaspokojenia długu, będą się codziennie powiększały koszta, bo przecię żyć musisz.

—Więc tak! będę ci dawał połowę moich pieniędzy, a za połowę będę kupował chleba.

—Tak! toby nigdy końca niebyło, a potém mógłbyś łatwo umknąć i przepadły moje dwanaście złotych. Nie, nie, niepozwolę na to; zatrzymam twoję lirę, i skończyło się.

Klaudjusz płakał, prosił tego nielitościwego człowieka aby mu niezabierał dziedzictwa przodków jego, wszystko to było bezskuteczne. Naówczas pewien pan pijąc kawę w przyległym pokoju, przyszedł i zapytał się gospodarza, o co by im chodziło: ten opowiedział mu wszystko, a ten dobry pan zakończył sprawę zapłaciwszy wieczerzę za młodego Włocha. Klaudjusz odzyskawszy swoję lirkę, podziękował sto-

krotnie swemu dobroczyńcy, i natychmiast odszedł.

Pójdź Alko, rzekł do pieska swojego; opuśćmy szpiesznie to miasto, gdzie się tacy źli ludzie znajdują.

Gdy przechodził wzdłuż ulic wiele osób chciało widzieć jego swiszcza; on udawał jak by ich niesłyszał, pragnął tylko jak najprędzéj ten kraj opuścić. O piątéj godzinie wieczornéj, wyszedłszy na otwarte pole, usiadł nade drogą, aby zjeść kawałek chleba który miał w kieszeni, jego piesek, leżąc obok niego, spoglądał na swojego młodego pana, i oczekiwał swojego kawałka, którego mu Klaudjusz nieomieszkał udzielić. —Mój biedny Alko; rzekł młody Włoch na głos, udzielając mu ten kawałek chleba, ty byłeś rostropniejszy ode-

mnie, kiedy powąchawszy te pieniądze oddaliłeś się od nich natychmiast, jako od rzeczy żadnéj wartości niemającéj! Cóż one nam dobrego zrobiły! Nic, gdyż za złą wieczerzę, mało co nieutraciłem lirki mojéj, i połowę nocy na płaczu przepędziłem. Nie będę już więcéj brał żadnéj sakiewki, chociażby ona była tak wielka, jak głowa moja; może to były źle nabyte pieniądze, gdyż przypominam sobie słowa ojca mego: „Przeklęte są pieniądze przez występek nabyte." Ach, one zapewne takie były! Te kilkanaście groszy które za mojego swiszcza zarobiłem, nienapełniły mojego woreczka, to prawda; lecz one niepozbawiają mnie snu, i nikt mi ich odebrać niepragnie. Idźmy Alko, ponieważ zaś jesteś tak zmy-

ślny, będę odtąd uważał co ty będziesz oceniał, i będę ciebie naśladował.

Usłyszał kogoś idącego, obraca się, i spostrzega tego samego pana, który za niego wieczerzą zapłacił.

—Mój mały, rzekł do niego nieznaiomy, czybyś niechciał pójść ze mną? Moja rodzina jest z tąd o ćwierć mili; mam małe córeczki którychby nadzwyczajnie ucieszył taniec szwiszcza twojego; jeżeli więc zechcesz ich zabawić, spodziewam się że tego żałować niebędziesz.

Klaudjusz podniósł się natychmiast, wziął swój kij, swoje zawiniątko, i poszedł za nieznajomym z największą radością. Gdy wyszli z lasu spostrzegli powóz który na nich czekał.

—To jest mój pojazd, rzekł nieznajomy; wsiądziemy do niego ażebyśmy prędzéj stanęli.

Ten powóz był tak piękny, że Klaudjusz pomieszany, niewiedział gdzie usieść. Niechciano z początku jego pieska wsadzić do pojazdu; lecz mały Włoch prosił tak usilnie aby i on wysiadł jeżeli mu niewolno wziąść pieska ze sobą, że ten pan pozwolił na to, aby Alko do pojazdu był wzięty. Alko niespokojny w téj nowego rodzaju podróży, kręcił się nieustannie koło drzwiczek, tak jakby pragnął wyskoczyć: posłuszny rozkazowi swego pana, który mu kazał leżeć spokojnie, położył się nakoniec u nóg Klaudjusza; lecz co chwila ze smutkiem i niespokojnością spoglądał na niego.

Skąd to pochodzi, mówił sam do siebie Klaudjusz, że mój Alko, zamiast coby się miał cieszyć wraz zemną, że jedzie takim pięknym powozem, jest ciągle smutny, i chce wyjść z niego koniecznie? czyby to niebyło coś podobnego do owéj sakiewki.

Nieznajomy, oparty w głębi pojazdu, ani słowa niemówił; Klaudjusz nieśmiał nic mówić do niego, lubo ta ćwierć mili wydawała mu się bardzo długa. Noc nadchodzi, powóz ciągle jedzie, odważa się przeto nakoniec Klaudjusz zapytać, czy prędko staną na miejscu.

Bądź cierpliwy; w krótce to nastąpi, odpowiedział nieznajomy. W rzeczy saméj niezadługo powóz stanął przed piękną bramą. Nieznajomy wysiadł z Klaudjuszem. Powóz odjechał.

*(Dalszy ciąg w następującym Numerze).*